



ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

16

— Tak jest, tylko pan, — potwierdziła z powagą pani Łacka.

— Jakim sposobem? — spytał swobodnie, nie poczuwając się do winy.

— Pan doktor, jako jeden z warunków wyzdrowienia polecił, ażeby kuzynka, pani Jerzycka, zmuszała się do ruchu, do samodzielnego dbania o siebie i pamiętania o swoich potrzebach. Pannie słyszały? — zwróciła się do sąsiadek.

— Tak jest, — potwierdziła pani Mniewska pospiesznie, — to samo mówił sam pan Jerzycki.

— Niech się panu nie zdaje, że my nie potrafimy być uprzejme i usługune, gdy zajdzie potrzeba, — mówiła dalej z powagą surową pani Łacka.

— Ja pierwszy usługiwałem z przyjemnością pani Jerzyckiej, — odezwał się pan Jedliński, — ale wyżej cenię jej zdrowie, aniżeli moją przyjemność, — spojrzał z ironiczną wyższością na pana Borowieckiego.

Pani Wanda i oskarżony uśmiechali się do siebie i traktowali tę sprawę żartobliwie, co widocznie drażniło panią Łacką, i ciągnęła dalej oskarżenie z niezmaconą surową powagą:

— Otóż, proszę pana, szkodzi pan mej kuzynce przez swą nadmierną uprzejmość, i jeśli ona, powodowana zbyt częstą w tym razie delikatnością, nie sprzeciwiała się panu, ja już kilkakrotnie dawałam panu do zrozumienia, że podobna dbałość jest niepotrzebna.

— Jeśli szanowna pani, — mówił uśmiechnięty pan Borowiecki, — nazywa zbyt częstą dbałością podanie ręki lub szklanki wody, jakże pani nazwie zachowanie matki, która córeczkę sama ubiera, czuwa nad nią nie tylko w nocy, ale i w dzień, ażeby nie uderzyła nóżką o kamyczek, ażeby nie zaszkodził chłód cienia, muszka nie usiadła, komar nie ugryzł?

— O, panie, — zawołała z oburzoną godnością pani Porecka, — naigrawać się z uczuć macierzyńskich nie wolno. One są bezinteresowne, szlachetne, czyste, czego o innych uczuciach nie można powiedzieć.

— Ta co pan mówi! — odezwała się pani sędzina z Jarosławia, świeżo przybyła do zakładu, blondynka pulchna, z twarzą krągłą, podobną z koloru do jabłuszka rajskiego, — pan musi chyba z Królestwa być, bo u nas, w Jarosławiu, nikt nie ośmieliłby się dotknąć macierzyństwa.

— Istotnie nie pochodzę z Jarosławia, — zaśmiał się, — czego żałuję, bo byłbym współmieszkańcem pani.

— Ta my takich nie chcemy na współmieszkańców, — zarumieniła się, — byłoby zgorszenie, a u nas, w Jarosławiu, wszystko po bożemu.

— Tak samo i u nas na Podolu, — powiedziała z godnością pani Porecka, — my wychowujemy tak nasze córki, ażeby były zaradne, nie szukały pomocy u obcych, — spojrzała naturalnie niechętnie w stronę pani Wandy, której podawał sąsiad talerz z ciastkami, — wogóle niema wśród nas tych, jak nazywają Anglicy, *unskilled hands*, czyli ludzi z rękami niezdatnymi.

— Tak, tak, — westchnęła pani Łacka, — na razie takie usługiwanie, taka troskliwość podoba się, znam to, znam, ale trwa to krótko, a potem jaka przykreść!

— Tysiąc razy lepiej przemódz swe lenistwo, — wygłosiła sentencyjnie pani Porecka, — ani-

żeli być na łasce służby lub grzeczności obcych, zawsze to powtarzam.

— Może jednak pani pozwoli, że są tacy, którzy nie podzielają zasad pani, zapewne wzniosłych i praktycznych, — powiedział pan Borowiecki.

— Widzę to, widzę, i nie tylko ja jedna, — westchnęła pani Porecka, — ale czy pomyślał pan o skutkach?

— „Lepsza w kwietniu jedna chwilka, niż w jesieni całe grudnie“, — odrzekł z uśmiechem.

— Co pan powiedział?

— To nie ja, ale Mickiewicz.

— Ach, poeta! — uśmiechnęła się lekceważąco, — wiadomo, że poeci wszystko poświęcą dla przyjemnych wrażeń, ale też żadna matka nie wydałaby córki za poetę.

Wszczął się gorący spór, już nie o poetę, ale o to, czy lepiej jest przeżyć życie normalnie, spokojnie, bez wielkich wstrząśnień, czy też doznać gwałtownych wrażeń i uczuć, a resztę życia spędzić w szarżyźnie.

Spór ten przeniół się ze sali jadalnej do gabinetu, gdzie zwykle pijano kawę czarną. Tym razem przyszły i panie, gdyż każdy w tym towarzystwie, tak panie, jak panowie, uważali się nie tylko za uprawnionych do zabrania głosu, ale i do rozstrzygnięcia tej kwestii, uważając swe zapatrywanie za jedynie słuszne i sprawiedliwe.

Pan Jedliński, który miał ducha organizatorskiego, widząc, że rozmowa wchodzi na różne tory, zawołał:

— Właściwie każdemu z nas zależy na tem, ażeby być szczęśliwym, zatem od pojęcia szczęścia zależy też wybór takiej, lub innej drogi do osiągnięcia go. Proponuję tedy, ażeby każdy z nas powiedział, co rozumie pod szczęściem.

— Tak, to naprawdę ciekawe, — rzekła pani Mniewska, — byle każdy z nas był szczery.

— Czyż wśród nas jest ktoś nieszczerzy? — zaśmiał się pan Jedliński, — ja przynajmniej nie mam nic do ukrywania i będę szczery.

— I co pan uważa za szczęście dla siebie? — spytała pani Łacka.

— Szczęściem dla mnie byłoby, — spojrzał na panią Wandę, czy słucha, — gdyby moje marzenie stało się rzeczywistością.

— A jeśli pan marzy o zostaniu królem, cesarzem? — zaśmiała się pani Łotuska, a za nią inni.

— O, nie! Mężczyzna, jeśli marzy, to tylko o ukochanej kobiecie, a resztę zdobywa czynem. A pani? — zwrócił się do pani Mniewskiej.

— Ja?... Powiem szczerze, że szczęściem dla kobiety, jest miłość... piękna, upajająca, wierna i stała.

— Taką miłość opisują tylko książki, — powiedziała z godnością pani Porecka, — ona dobra w romansach, ale w życiu, na przykład mnie, wystarcza do szczęścia dobry, kochany mąż i zdrowe, szczęśliwe dzieci, — spojrzała na córkę rozczulona.

— To bardzo piękne, — uśmiechnęła się pani Łotuska, — ale, jeśli kto nie ma dzieci, jak ja, co zostaje?

Wiedzianno, że męża ma starego i podobno zazdrosnego, więc nikt nie wspominał o nim, tylko pan Jedliński rzekł:

— Co tedy pani uważa za szczęście?

— Wolność zupełną i dużo, bardzo dużo pieniędzy.

— Pieniądze! — skrzywiła się Madzia Porecka nieznacznie, — one przecież nie stanowią szczęścia. Znamy milionerów i wcale nie są szczęśliwi, nieprawdaż mamie?

— Tak jest... nawet dwóch znamy, i obaj prawie nieszczęśliwi.

— Bo nie umieją używać, — gorączkowała się pani Łotuska, — przecież nie na to chcę być bogatą, ażeby trzymać w kasie pieniądze, — zaśmiała się, — zresztą takie jest moje zdanie o szczęściu, a pani? — spojrzała na Madzię Porecką.

Matka utkwiała oczy w usta córki i cała obróciła się w słuch.

— Dla mnie szczęściem jest harmonia w życiu, żadnych barw surowych, tonów wrzaskliwych, wszystko zharmonizowane.

— Ślicznie powiedziałaś Madziu, — pochwaliła matka, a inne panie dodały ogólnikowo:

— Tak jest, harmonia jest piękna i pożądana, W tej chwili do gabinetu zajrzała pani sędzina i zawołała ze śmiechem:

— Ta cóż to za wiec, a mnie wolno posłuchać?

— Bardzo prosimy, — rzekł pan Jedliński, — ale pod warunkiem, że pani powie, co rozumie pod szczęściem?

— Ta cóż to wielkiego, jeśli wy mówicie, powiem i ja, — usiadła na fotelu, — czy to zabawa w szarady?

— Nie! każdy z nas mówi swe wyobrażenie o szczęściu w życiu, — odpowiedział pan Jedliński, — a resztę czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa, — zaśmiał się.

— Ta dobrze... posłucham i nauczę się, jak nie wiem.

— Ja teraz powiem, — zgłosił się pan Orlicki, czy dobrze?

— Panowie później, panie najpierw, może pani zechce, — spojrzał na panią Wandę.

— Trudno mi określić w krótkich słowach, — zarumieniła się, — ale chyba najbliższemu prawdy będzie, że dla mnie szczęściem jest swoboda ducha i swoboda czynu.

— To ogólnik, kuzynko, — zawołała pani Łacka, — coś określonego.

— Nie być skrupowaną, nie mieć obaw, przesądów... no i żeby każdy czyn był w zgodzie z moją duszą, czy rozumem.

— Tak, to rozumiem, to ładne marzenie, — rzekła z uznaniem pani Łacka, — szkoda tylko, że my, kobiety zamężne, jesteśmy też trochę zależne od mężów.

— Tak samo, jak mężowie od żon, — uśmiechnął się pan Borowiecki.

— O, przepraszam, — zaprzeczyła pani Łacka, — mężczyźni są często za domem i żyją na własną rękę.

— Dają nogę z domu, czy nie tak? — zaśmiał się pan Orlicki, co przyjęte było wesoło, tylko pani Łacka zmierzyla go surowymi oczyma i powiedziała z chłodną wyniosłością:

— To wyrażenie zaczerpnął pan zapewne z niskiego poziomu, u nas tak się nie mówi, — i, nie czekając usprawiedliwienia, dodała: — no, a ty Ryto, co powiesz o szczęściu?